



Dziecko przed obiektywem

Rzeszowskie Towarzystwo Fotograficzne wspólnie z Wydziałem Kultury Prezydium Miejskiej Rady Narodowej i Zarządem Okręgu Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Rzeszowie ogłaszają konkurs fotograficzny pt.

„D Z I E C K O”

Konkurs i organizowana następnie wystawa z okazji Międzynarodowego Dnia Dziecka (1 VI 1968 r.) mają na celu popularyzację sztuki fotograficznej tematycznie związanej z możliwościami rozwojowymi i wychowawczymi dziecka.

Zgodnie z tematem prace konkursowe powinny przedstawiać dzieci, ich codzienne życie, beztroskie zabawy, radości i smutki. Jednym zdaniem, to wszystko co składa się na dzieciństwo „małego człowieka”.

W konkursie mogą brać udział tylko fotograficy z województwa rzeszowskiego. Każdy uczestnik może przesłać do 15 fotogramów w formacie od 24x30 cm do 40x50 cm w technice czarno-białej.

Fotogramy opatrzone godłem słownym należy nadsyłać pod adresem Prez. MRN Wydział Kultury, ul. Okrzei 1 w Rzeszowie, do dnia 15 maja 1968 r. Rozstrzygnięcie konkursu przez sąd konkursowy nastąpi do dnia 20 maja br.

Za najlepsze fotografie i zestawy przyznane będą następujące nagrody:

I — 3 000 zł, II — 2 000 zł, III — 1 500 zł, IV — 1 200 zł oraz pięć wyróżnień po 500 zł.

Towarzystwo Przyjaciół Dzieci przyzna ponadto dwa wyróżnienia specjalne po 2 500 zł za najlepsze zestawy fotogramów o tematyce społeczno-wychowawczej. (J. Z.)

Cecylia Błońska

Buszujący w kawiarni

„Jeśli ktoś napotka kogoś, kto buszuje w zbożu...”
(fragment wiersza Roberta Burnsa)

Ten list, mimo pewnej troski, jaką wykazywał o tzw. młode pokolenie, wydał mi się jednak niesłuszny, chwilami oburzający. Żądanie zaostrzonych rygorów w stosunku do chłopców i dziewcząt okupujących rzeszowskie kawiarnie (chodziło głównie o ów jedy-

ny lokal kategorii „S”), powtarzające się zresztą w epistołach, skargach kierowanych przez „stałych bywalców” pod adresem Rzeszowskich Zakładów Gastronomicznych do redakcji itp. wydaje mi się anachroniczne. Powoływanie się na przykład MPiK (Klubu wszakże), gdzie dzięki regulaminowi zdołano ograniczyć napływ młodzieży nie legitymującej się jeszcze ukończonym osiemnastym ro-

kiem życia, być może, przyniosłoby nieco pożądanego luzu ludziom starym, dla których kawiarniana sješta jest jedyną rozrywką w szarym dniu, ale powiedzmy sobie jasno, że nie w tym leży sedno sprawy.

Nie gniewem — nawet i wtedy, gdy wszystkie stoliki są zajęte przez młodzież — lecz troską napawa mnie widok zadymionej, dusznej kawiarni, do której młodociani bywalcy zdążają z punktualnością, jakiej należałoby im życzyć w przynoszącej zadowolenie pracy. — Oboje rodzice wychodzą rano z domu: ojciec do fabryki, mama do biura. Nie mogę narzekać, dają mi na kawę, a od czasu, gdy zdałam maturę, nie ma już dyskusji o złościsz na papierosy. Starają się i o to, bym była jako tako ubrana. Ale pani wie, jak to było ze mną

po maturze. Nie dostałam się na studia. Ten rok jest dla mnie bardzo smutny. W domu nie wytrzymam. Idę do kawiarni. To prawda, siaduję tam coraz dłużej. Ale co właściwie mam robić?...

Maturzystów, którym się nie powiodło, którzy ten rok chcieliby jak najszybciej mieć za sobą, by znowu startować, próbować swych sił, jest w Rzeszowie bardzo wielu. Ten problem trapi nie tylko nasze miasto: okazał się równie dojmujący w innych województwach, które prowadzą w tej chwili daleko zaawansowane badania nad przyczynami generalnych niepowodzeń ubiegłorocznych absolwentów liceów ogólnokształcących.

Właśnie ich spotkać można o każdej niemal porze dnia przy kawiarnianym stoliku. Nie chcę przez to stwierdzić, że

ich koledzy z miejscowych wyższych uczelni omijają okazję, by każdą nadarzącą się chwilę spędzić w kawiarnianym lokalu. Działają tu oczywiście, któremu do niedawna nie przeciwstawiono żadnego sensowniejszego. Za moich akademickich czasów z takim zapalem w przerwach między wykładami biegliśmy do uniwersyteckiej biblioteki, przepojeni bardziej sportowym duchem wymykali się na pół godziny bodaj w stronę lodowiska, na narciarskie tereny zjazdowe, którymi otoczone było miasto.

W naszych kawiarniach nie ma elementarnego wyboru gazet, nie mówiąc o czasopiśmie. Jest to więc popularnie mówiąc zabijanie czasu.

Tymczasem ZMS, w ambitnych planach pracy pozjazdowych (Ciąg dalszy na stronie 2)

Wiesław Niemcewicz

(debiut)

Sen

Widziałem Cię otuloną
białym szalem świtu
Stąpałaś wiatrem pośród
zamyślonych drzew
Wiadra pełne niosłaś
ze źródła wspomnień
Chciałem tylko
spieczoną tęsknotą
zwilżyć usta
Stałem bezradny z promieniem
słońca w ręce

Ucieczka

Chciałem uciec od tych drzew
chciałem dogonić ich ślady
rozrzucone na śniegu
Zaszumiły mi tylko słowa
otwarte pełne bieli
którym tak starannie
przygotowałem miejsce
w twoich oczach
I nie wiem którądy
wracają moje drogi
i nie mogę zawrócić
gdy topnieją ślepe
zapatrzone w słońce

10 lat Rzeszowskiego Ośrodka Archeologicznego

Rozmowa z mgr Antonim Kunyszem dyrektorem Muzeum Ziemi Przemyskiej



W październiku 1967 r. minęła 10 rocznica utworzenia Rzeszowskiego Ośrodka Archeologii przy Muzeum Okręgowym w Rzeszowie. Jak nam wiadomo, inicjatorami zorganizowania tej placówki byli: doc. F. Kotula, mgr K. Moskwa i Pan.

Z okazji Ogólnopolskiej Konferencji Archeologów, która odbędzie się na ziemi rzeszowskiej warto przypomnieć społeczeństwu jakie są cele i zadania tej placówki?

Utworzenie Rzeszowskiego Ośrodka Archeologicznego pod naukową opieką prof. dr R. Jamki z Krakowa miało umożliwić młodym archeologom podjęcie aktywnej działalności badawczej, której dotychczas nie prowadzono w woj. rzeszowskim. Poza tym zakładano powstanie w muzeach woj. rzeszowskiego działów archeologicznych z własnymi ekspozycjami oraz odpowiednią obsadą fachową. Kadra archeologów w województwie w roku 1957 liczyła 3 osoby (muzeum Rzeszów i Krosno), w roku 1963 już 11 specja-

listów z ukończonymi studiami wyższymi (etaty uzyskaly w ostatnich latach muzea w Przemyslu, Jarosławiu i Sanoku). W planach jest rozwój dużego działu archeologicznego w muzeum w Baranowie Sandomierskim, pow. Tarnobrzeg.

Archeolodzy rzeszowscy nawiązali współpracę z innymi pokrewnymi placówkami na terenie Krakowa i Warszawy. Naukowcy z tych dwóch ośrodków brali udział w pracach wykopaliskowych na różnych stanowiskach w Rzeszowskim. Chodziło nam również o ochronę zabytków archeologicznych, popularyzację archeologii (odczyty, wystawy) oraz o akcję wydawniczą.

Jakie osiągnięcia naukowo-badawcze notuje ośrodek w tym dziesięcioleciu?

Uczestnicząc w pracach ośrodka przez cały okres muszę stwierdzić, że te 10 lat minęło pod znakiem wyłączonej pracy. Założono w Rzeszowie centralne archiwum dotyczące odkryć z około 1000 miejscowości. Prze-

prowadzono setki badań w różnych miejscowościach na obszarze województwa o charakterze stacjonarnym i ratowniczym (na wielkich budowach: siarka, zapory wodne, trasy gazociągów itp.) W latach 1957—1967 celem wyjaśnienia problemów związanych z kształtowaniem się naszej państwowości podjęto badania na wielu stanowiskach z doby wczesnośredniowiecznej (Przemysł, Rzeszów, Biecz, Jarosław, Sanok, Trzcianica, Przemyśl, Jasło, Wietrzno pow. Krosno itp.).

Dzięki badaniom archeologicznym uzyskaliśmy bardzo wiele materiałów obrazujących dzieje osadnictwa na obszarze woj. rzeszowskiego począwszy od młodziej epoki kamiennej (około 4000 lat p. n. e.) do wczesnośredniowiecza (XIII wiek). Niektóre wykopaliska pozwoliły stwierdzić silne kontakty z południem — z terenami zakarpacczymi (kultura tzw. ceramiki wstępowej rytej i kłutej). W okresie rzymskim tereny Rzeszowskiego utrzymują ożywo-

ne kontakty z imperium i prowincjami rzymskimi. Szczególnie poważnym osiągnięciem jest odkrycie szeregu osad ludności tzw. kultury przeworskiej (II wiek p. n. e. do IV wieku n. e.). Okazało się, że dotychczasowe, utrzymujące się hipotezy o ujemnej roli terenów górskich w kontaktach między ludźmi, nie wytrzymują krytyki. Przełęcz karpaccie były bardzo wcześnie wykorzystywane, jako szlaki komunikacyjne i handlowe.

Jak upowszechnialiście problemy archeologiczne? — interesują nas formy popularyzacji.

Na szeroką skalę prowadzona była akcja upowszechniania archeologii w społeczeństwie poprzez: odczyty, pogadanki, wystawy (stałe w placówkach muzealnych i objazdowe). W naszych muzeach można dzisiaj oglądać ekspozycje: Przemysł w zaraniu dziejów (Przemysł), Pradzieje Biskupa Niskiego i Bieszczadów (Krosno) oraz Pradzieje Rzeszowszczyzny (Rzeszów). W przygotowaniu znajduje się duża wystawa w Baranowie Sandomierskim, ukazująca przeszłość regionu tarnobrzeckiego. Dużą propagandę dla archeologii zrobiła wystawa objazdowa „Rzeszowskie w zaraniu dziejów” (1961 r.).

Archeolodzy docierali do mieszkańców miast i wsi, młodzieży szkolnej, wojska, działaczy turystycznych, z odczytami itp. Tej sprawie służyły też sesje naukowe lub popularnonaukowe w Rzeszowie (maj 1963 r.), Przemyslu (1965 r.) i innych ośrodkach. Szczególnie dużą aktywność przejawiali archeolodzy w ramach uroczystych sesji w latach obchodów 1000-lecia istnienia naszej państwowości, wygłaszając referaty na sesjach, w Sanoku (1961 r.), Stalowej Woli (1966 r.), Gorlicach (1964 r.), Bieczu (1959 r.), Przeworsku (1965 r.) itp. W ramach sesji przygotowano wystawy oświatowe w Przeworsku, Leżajsku, Nisku, Rudniku i wielu innych miejscowościach.

Czy naukowy dorobek rzeszowskich archeologów znalazł odzwierciedlenie w publikacjach i wydaniach książkowych?

Pracownicy Rzeszowskiego Ośrodka Archeologicznego w wyniku przeprowadzonych badań ogłosili drukiem około 200 artykułów w różnych czasopiśmie centralnych i regionalnych. Pod-

jęli wydawanie publikacji „Sprawozdania Rzeszowskiego Ośrodka Archeologicznego”, do tej pory ukazało się 5 zeszytów za lata 1961—1965. W druku znajduje się obszerny tom (30 arkuszy) „Materiałów i Sprawozdań Rzeszowskiego Ośrodka Archeologicznego”. Publikacjami swoimi archeolodzy przyczynili się do popularyzacji dziejów naszego terenu nie tylko w kraju, lecz i za granicą.

Ogólnopolski Zjazd Archeologów odbywa się w Rzeszowie po raz drugi. Czy jest to wyrazem wyróżnienia waszej pracy i działalności?

Pierwszy zjazd archeologów odbył się w Rzeszowie w 1963 r., wtedy miejscowi archeolodzy przedstawili wyniki swoich wieloletnich badań. Powierzenie Rzeszowskiemu Ośrodkowi Archeologicznemu organizacji w roku bieżącym X Ogólnopolskiej Konferencji Sprawozdawczej Archeologów należy uznać jako wyróżnienie oraz poważne osiągnięcie młodego grona muzealników z terenu woj. rzeszowskiego.

Osiągnięcia młodego ośrodka rzeszowskiego są bezsporne. Czy wasze poczynania znalazły zrozumienie i poparcie społeczeństwa?

Osiągnięcia rzeszowskich archeologów byłyby niemożliwe bez pomocy wojewódzkich władz partyjnych i państwowych, które nie szczędziły opieki, dotacji finansowych na badania i wydawnictwa. Szczególnie duże zasługi w zakresie ochrony zabytków posiada były Urząd Konserwatora Wojewódzkiego d/s Zabytków Archeologicznych. Archeolodzy rzeszowscy korzystali również z pomocy Ministerstwa Kultury i Sztuki, Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków.

Nasze poczynania zawsze spotykały się z aprobatą społeczeństwa, dlatego wierzymy, że rozbudowa Rzeszowskiego Ośrodka Archeologicznego przyczyni się do rozwoju polskiej archeologii, która dzisiaj osiągnęła wspaniałą pozycję na świecie.

Rozmawiał: E. G.

Buszujący w kawiarni

(Ciąg dalszy ze strony 1)

wej wiele uwagi przywiązuje do organizowania rozmaitych rozrywek, kulturalnych zajęć mających absorbować młodzież nie tylko pracującą, żyjącą w obrębie miasta. Wiele słyszałam o klubach, które wkrótce powstaną, o upowszechnieniu „piosenki, z którą jest nam wesoło”, o ściślejszym współdziałaniu z miejscowymi środowiskami twórczymi itp. itd. A gdyby nasza młodzieżowa organizacja pokusiła się o tak modną dziś a na pewno przydatną ankietę wśród określonej grupy ubiegłorocznych maturzystów nie pracujących, nie studiujących, przebywających w Rzeszowie, na temat ich uwag i propozycji odnośnie zajęć, rozrywek, a także i konkretnej pomocy dla nich, we wzięciu się w nurt prawdziwego życia. Bez patosu.

Już chyba czas myśleć o kursach przygotowawczych do egzaminów na wyższe uczelnie dla tych, którzy raz jeszcze zechcą przejść przez tę próbę. Ci zaś, którzy marnotrawią czas, upodabniając się, co jakże smutne, do starców, w wielu wypadkach mogliby podjąć pracę zarobkową. Przecież w pojedynkę, spotykając się z wielkim zrozumieniem dla tego zagadnienia w poszczególnych instytucjach, w Wydziale Zatrudnienia PWRN (co

szczególnie pragnę podkreślić), zdołaliśmy ulokować młode dziewczęta, młodych chłopców na posadach, wśród rozumnych ludzi, gotowych umożliwić tej młodzieży studia zaoczne. Doniosło to pole do działania dla młodzieżowej organizacji. Nie ma bowiem poważniejszej narady, na której nie rozważano by w sposób głęboko obywatelski sprawy miejsc pracy dla młodych, jako problemu fundamentalnego. Organizując te miejsca wielkim nakładem starań i kosztów, nasze władze polityczne, gospodarce mają nieustannie na uwadze aktualne potrzeby wkraczających w samodzielne życie roczników.

Jeśli jest to nawet program maksimum — zatrudnienie w wszystkich absolwentów liceów, którzy w zasadzie uważają w tej chwili swą naukę za ukończoną, to pozostaje jeszcze bogaty wachlarz możliwości, przy pomocy których można by tę młodzież wyciągnąć z kawiarnianych pomieszczeń, z pływaczni godzin przeliczanych na pół czarnej.

Oto niedawno napotkawszy przypadkowo atrakcyjny, lecz z boczków parkanu naklejony afisz, znalazłam się na efektywnym pokazie „Modnego Stroju”. Młody, znakomicie przygotowany konferansjer (podobno znany aktor) wprowadzał w tajniki wiosennej mody niezbyt liczne

audytoryum — złożone raczej ze starszych, doświadczonych pań. Efektowne modelki z Warszawy, wszystkie w stylu Twiggy, prezentowały modele, które z prawdziwą przyjemnością oglądaliśmy nasza młodzież, gdyby oczywiście wiedziała, że taka prezentacja młodzieżowych kreacji będzie miała miejsce. Wbrew tendencjom co sędziwszych bywałców, byłabym za tym, by taką imprezę powtórzyć w „Pstryczku”, czy w „Śródmiejskiej”, w „Kosmosie”.

Trzeba jasno wyznać, że nie wysilamy się zbytnio, by u młodych ludzi, którzy znaleźli się poza szkołą, a nie zdołali wejść na uczelnię, pielęgnować pewne nawyki kulturalne, które znakomicie owocują przy odrobinie dobrej woli ze strony starszych, doświadczonych aktywistów. Uczestniczyłam ostatnio w zebrawaniu PTTK-owskiej sekcji przewodników nizinnych i górskich. W jak wielkiej, budującej zgodzie starzy wespół z młodymi radzili nad sprawami masowego ruchu turystycznego: młodzi początkujący przewodnicy korzystają również z kursów języka obcego, odbywają instruktażowe wycieczki, zdobywają nagrody za swą pracę.

W czasach mej młodości uczęszczanie na wykłady uniwersyteckie należało do dobrego tonu, do zwyczajów młodzieży nie związanej organizacyjnie z wyższą uczelnią. Wydaje się, że na wykłady nie połączone z ćwiczeniami laboratoryjnymi z pożytkiem można by dopuszczać, w mia-

re wolnego miejsca, oczywiście, młodzież w naszym mieście. Zwłaszcza dla tych, którzy powtarzać będą z wiosną egzamin wstępny, okazać się mogą nieocenione.

I mówiąc szczerze, za mało może na co dzień spotykamy się z tą młodzieżą, o której tak łatwo, chętnie i jakże krzywdząco mówię się, iż ona nic, tylko by siedziała i siedziała w kawiarni, buszowała w lokalach. Nie wchodzi tu w grę spotkania włączone w schemat prelegenta, truchcikiem podążającego od klubu do świetlicy i wyrabiającego w tej dziedzinie wysoką normę wydajności. Myślę o ludziach z wielkim autorytetem, doświadczonym, akceptowanych przez młodzież, jeśli już nie sięgną do tradycyjnego określenia poważanych przez nią.

Na pięknym balu kilku klas licealnych — na studniówce — widziałam rodziców zapatrzonych w swoje odświętne ubrane dzieci jak w przysłowiowy obraz. Było co oglądać, gdy dziewczęta śliczne w wytwornych białych bluzkach, z „dorosłymi” fryzurami, chłopcy w nienagannych garniturach, pod muszką, zapełnili wielką salę zwartym szkieletem poloneza. Czarnowłosa dziewczynka, śmigła jak jaskółka, otwierała ten młodzieżowy korowód, krócząc dostojnie z młodzieńcem, znanym przodownikiem nauki.

Po tym było wiele życzeń: wszystkim mówić o najgorętszym pragnieniu młodzieży, zgromadzonych ojców i matek, by ów próg — maturę —

przez który przejść mają wkrótce, przekroczyli pomyślnie, nadal dążąc bez przeszkód ku celom, jakie przed swymi dziećmi widzą kochający rodzice.

By zabili kiedyś ich miejsca w fabrykach, w urzędach, w szkołach, w kopalniach, w hutach. By pewnie prowadzili pociągi, by ze sterowniczych pulpity sprawnie wprawiali w ruch wielkie elektrownie.

Nikt, na pewno nikt z rodziców nie widzi i nie chce widzieć przyszłości swego dziecka, jakiegoś jej fragmentu, w kręgu... kawiarnianego stolika.

Zbuntowany bohater w znakomitej powieści J. D. Salinger „Buszujący w zbożu” tak oto mówi do małej siostrzyczki, gdy w mroźną noc znalazł się w rodzicielskim domu po burzliwej ucieczce ze szkoły.

„Wyobraziłem sobie gromadę małych dzieci, które bawią się jakąś grą na ogromnym polu życia. Tysiące matek, a nie ma przy nich nikogo starszego, nikogo dorosłego... prócz mnie, oczywiście. A ja stoję na krawędzi jakiegoś straszliwego urwiska. Mam swoje zadanie: muszę schwytać każdego, kto się znajdzie w niebezpieczeństwie, tuż nad przepaścią. Bo dzieci rozchwały się, pedają i nie patrzają, co tam jest przed nimi, więc ja muszę w porę doskończyć i pochwytać każdego, kto by mógł spaść z urwiska. Cały dzień, od rana do wieczora, stoję tak na straży. Jestem właśnie strażnik w zbożu”.

Mądra proza. Zaleciłabym ją tym, którzy sugerują „uchwalanie regulaminów” przeciwko młodym buszującym w kawiarni...

CECYLIA BŁONSKA

Krzysztof Ruszel

Działalność etnograficzna Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN

Ponad 15 lat minęło od chwili, gdy Prezydium Polskiej Akademii Nauk powołało do życia Instytut Historii Kultury Materialnej. Organizacja nowej placówki naukowej wynikała z konieczności rozpoczęcia badań podstawowej problematyki dla naukowego rozumienia procesu historycznego, jaką jest historia kultury materialnej.

Problematykę historyczną tego rodzaju, leżącą na pograniczu archeologii, etnografii, historii kultury i historii gospodarczej, najlepiej charakteryzują artykuły zamieszczone w ukazującym się od 1953 r. „Kwartalniku Historii Kultury Materialnej”, które traktują o rozwoju narzędzi pracy i ludzkich umiejętności posługiwania się nimi, doświadczeniach materialnych wyprodukowanych za pomocą tych narzędzi, wymianie i konsumpcji.

W ramach Instytutu Historii Kultury Materialnej utworzone

zostały różnorodne działy, z których IV skupił najwybitniejszych naukowców pracujących na polu etnografii, realizujących per spekywiczne plany naukowe w oparciu o wspólne założenia metodyczne i teoretyczne, mający własny organ, jakim jest ukazująca się od 1958 r. „Etnografia Polska”.

Trzonem zainteresowań etnograficznych w działalności Instytutu pozostaje kultura ludowa w Polsce, ponadto zaś uwzględniana jest etnografia innych krajów słowiańskich, innych krajów europejskich i pozaeuropejskich.

Poważniejszymi osiągnięciami badawczymi w poznaniu etnograficznym Polski była organizacja badań i wydanie pierwszych zeszytów Polskiego Atlasu Etnograficznego.

Podjęciem współpracy z naukowcami Czechosłowacji, Rumunii, ZSRR, Węgier, Bułgarii oraz Jugosławii, utworzono przy koń-

cu lat pięćdziesiątych Międzynarodową Komisję do Badania Kultury Ludowej w Karpatach, która postawiła sobie ambitne zadanie prowadzenia kompleksowych badań na tym terenie. Działalność Komisji opierając się na do- brze rozwijającej się współpracy międzynarodowej, przyniosła już pierwsze osiągnięcia.

Realizując postulat poznania kultury ludowej krajów słowiańskich podjęto poważnie zakrojone prace badawcze w Bułgarii, precedensem zaś w historii polskiej etnografii są ekspedycje badawcze do Mongolii, którymi kierował prof. W. Dynowski.

Wiele zasygnalizowanych tu problemów badawczych podjętych przez Zakłady i Pracownię Etnografii Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN, będzie przedmiotem referatów i komunikatów naukowych, wygłoszonych m. in. przez profesora Uniwersytetu Warszawskiego W. Dynowskiego, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego M. Gładysza, profesora Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie R. Reinfussa, profesora Uniwersytetu Łódzkiego K. Zawistowicza-Adamską, w czasie obrad II Ogólnopolskiej Konferencji Etnograficznej IHKM.

Stefan Lew

Jak nazwać ten region?

Przez południowo-wschodnią część województwa rzeszowskiego przebiega niezwykle interesująca rubież kulturowa i etniczna. Mam na myśli obszary leżące w dorzeczu górnego i średniego biegu Sanu. Część południową — Karpacie, zamieszkuje, lub zamieszkiwały drobne grupy góralskie ukraińskie: Lemków, Bojków i Dolinian. Środkową i północną część naszego województwa zajmują polskie grupy etnograficzne: Podgórzanie, Rzeszowiacy i Lasowianin. Są to nazwy o większych lub mniejszych uwarunkowaniach historyczno-językowych, lecz posiadają przy tym dość dobrze ugruntowaną pozycję w literaturze etnograficznej. Pozostała nam jeszcze do „nazwania” wschodnia część rzeszowskiego, administracyjnie, z grubsza biorąc, mieszcząca się w obrębie powiatów: przemyskiego, jarosławskiego, i lubaczowskiego.

Już wcześniej pisałem („Lud”, t. XLIX, 1965), że jest to część większej całości. Pierwsze propozycje w tym względzie wysunęli językoznawcy. Obszar dorzecza górnego i średniego Sanu zaliczony został przez Moskiewską Komisję Dialektologiczną (1915) do narzeczy rusnackich,

wchodzących w skład dialektu karpaccyjskiego z charakterystycznym dla Słowian wschodnich niestałym akcentem. Ludność zamieszkująca Przemyskie i Jarosławskie nazwano Dolinianami. Nazwę tę przyjął również A. Fischer (1928). Syntezę powyższą zmodyfikował w pewnym stopniu I. Zieliński (1925), określając ludność zamieszkującą powiaty przemyski, jarosławski i lubaczowski oraz b. powiaty dobromilski, mościcki i jaworowski, jak również zachodnią część b. powiatów rawskiego i gródeckiego, mianem Bylańców. Należy przyjąć, iż jest to najdalszy zasięg fali osadniczej ludności ruskiej, która pod naporem stepowców cofnęła się w X wieku dolinami Prutu i Dniestru ze swych macierzystych siedzib między dolnym Dunajem, Dniestrem i morzem Czarnym (J. Czekański, 1948). Zasięgi dialektów nie zawsze pokrywają się jednak z zasięgami regionów kulturowych. Pod względem etnograficznym wschodnia część rzeszowskiego wykazuje znaczne zróżnicowanie. W obrębie tego regionu wyróżniają się w zasadniczy sposób, zarówno pod względem fizjograficznym jak i kulturowym, trzy mniejsze grupy: Podgórze polsko-ukraińskie, Posanie i Bałaje. Dwa pierwsze określenia mają charakter warsztatowy, umowny. Podgórze polsko-ukraińskie w nazwie, jak również do pewnego stopnia kulturowo, stanowi nawiązanie do Podgórza polskiego. Posanie ma swój bliski odpowiednik w Posaniu i Posaniakach znad dolnego Sanu (A. Fischer, 1934). Wypadkiem natomiast bez precedensu jest wyłonienie się w ciągu kilkunastu ostatnich lat etnonimu Bałaje.

Odnosi się on do całego, dużego i zwartego obszaru, jakim są pow. lubaczowski i część jarosławskiego. Etonim Bałaje dotyczy mieszkańców wsi położonych wzdłuż linii kolejowej Munina — Bełżec. Przy czym termin ten ma charakter etnograficzny, a używany jest przez ludność żywnego Posania w odniesieniu do znacznie uboższej ludności z okolic Lubaczowa, Horwica i Werchrały. Faktem jest bezspornym, że spostrzegana przez sąsiadów odrębność kulturowa Ba-

(Ciąg dalszy na stronie 4)

Teresa Szetela

Program rzeszowski

Wiele muzeów wojewódzkich w Polsce i niektóre regionalne są już dzisiaj placówkami naukowo-badawczymi choć jednocześnie nie zaniedbują celów podstawowych, jakimi jest gromadzenie, opracowywanie i udostępnianie zbiorów.

Rozwinięcie działalności naukowo-badawczej było możliwe dzięki zatrudnieniu młodej kadry ludzi, archeologów, etnografów, historyków i historyków sztuki. Jest to szczególnie ważne w środowiskach, gdzie nie ma placówek uniwersyteckich, instytutów naukowych czy stacji badawczych.

W województwie rzeszowskim powstały trzy ośrodki muzealne, w których rozwinęły się działy etnografii, rozpoczynając zarazem działalność badawczą w tym zakresie. Największym z nich jest Sanok z Muzeum Budownictwa Ludowego, gdzie liczba młodych etnografów wzrosła od 1958 roku z dwóch do kilkunastu osób. Żywa działalność etnograficzną rozwinięto również Muzeum w Przemysku, co zasługuje na szczególną uwagę, gdyż obsada działu jest jednoosobowa. W Przemysku powstał również oddział Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego. Trzecią placówką jest Dział Etnograficzny Muzeum w Rzeszowie, na którego konto należy zapisać organizowanie corocznych badań kompleksowych.

Spośród tych trzech środowisk etnograficznych jedynie sanockie doprowadziło do systematycznego wydawania własnych publikacji pt. „Materiały Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku”, w którym omawia się wyniki badań podejmowanych przez tamtejszy zespół. Również Przemysł, dysponując skromnymi środkami Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego wydaje powielane zeszyty pod nazwą „Z naszej ziemi”, których ukazało się dotychczas siedem. Należy się spodziewać, że wkrótce i w Rzeszowie nastąpi pod tym względem poprawa. Przewodzone są starania o zatwierdzenie wydawnictwa pt. „Prace i materiały etnograficzne Muzeum w Rzeszowie”, którego pierwszy tom jest już skompletowany i

zawiera materiały z badań przeprowadzonych w powiecie tarnobrzskim.

Wykorzystując fakt, że miejscem II Ogólnopolskiej Konferencji Etnograficznej jest Rzeszów — Łańcut, miejscowe środowiska wysunęły myśl wystąpienia na konferencji z — rzeszowską problematyką badawczą. Zaproponowano zreferowanie kilku zagadnień, które stanowią bądź tematy rozpoczętych przewodów doktorskich, bądź nasunęły się w wyniku ciekawszych badań nad kulturą ludową. Organizatorzy konferencji zaproponowany program przyjęli w całości.

W drugim dniu obrad tj. 20 lutego wygłoszą następujące referaty: mgr Krzysztof Ruszel (Rzeszów) — „Stan i potrzeby badań nad kulturą ludową na terenie województwa rzeszowskiego”, mgr Stefan Lew (Przemysł) — „Budownictwo drewniane w dorzeczu Sanu”, oraz komunikaty: doc. Franciszek Kotuła (Rzeszów) — „Obozy naukowo-badawcze, stacjonarne i kompleksowe organizowane przez Dział Etnograficzny Muzeum w Rzeszowie 1957 — 1967”, mgr Henryk Olszański (Sanok) — „Ludowe budownictwo przemysłowe południowej Rzeszowszczyzny w świetle badań przeprowadzonych przez Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku”, mgr Maria Brylak (Sanok) — „Problem wiejskich zajęć pozarolniczych na terenie Beskidu Niskiego, ze szczególnym uwzględnieniem zawodów wędrownych”, mgr Teresa Szetela i mgr Ewa Waszkowska (Rzeszów) — „Nowożytny ośrodek garncarski w Miechocinie, pow. Tarnobrzeg na tle wykopalisk przeprowadzonych przez Dział Etnograficzny Muzeum w Rzeszowie”.

W związku z tematem ostatnim przygotowana została wystawa w Muzeum w Rzeszowie ukazująca wyniki badań osady garncarskiej w Miechocinie, którą goście zwiedzą w pierwszym dniu obrad. W programie trzeciego dnia konferencji znajduje się zwiedzenie skansenu w Sanoku, gdzie zostanie wygłoszony referat dyrektora Aleksandra Rybickiego pt. „Działalność Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku”.



Franciszek Kotuła

„Obozy” naukowo-badawcze

Na Zjeździe IHKM Dział Etnograficzny Muzeum w Rzeszowie m. in. przedstawi dorobek 16 „obozów” naukowo-badawczych, zorganizowanych w latach 1957 — 1967. Trzeba podkreślić, że były to przedsięwzięcia i kosztowne, i — używając współczesnej nomenklatury — „bardzo pracochłonne. Trwały do dwóch tygodni, a brało w nich udział wielokrotnie ponad 20 osób, w znakomitej większości pracowników naukowych. Obozy były stacjonarne tj. ekipa w czasie trwania badań zamieszkiwała w jakiejś miejscowości, każdy z uczestników obozu miał określone zadanie przebadanie np. typy wsi, układ zagrod i budownictwo, rolnictwo tradycyjne w zestawieniu ze współczesnym, rzemiosło, różnego rodzaju zajęcia pozarolnicze, plastyka i strój ludowy, lecznictwo, zjawiska języko-(gwarowe), zwyczaje i obrzędy... Wszyscy uczestnicy byli specjalnie uczu-

leni na zjawiska socjologiczne. Pewna grupa ekipy stosowała inne sposoby dokumentacyjne: malarstwo, rysunek, fotografię, nagrania. Te aspekty pozwalały tego rodzaju badania nazywać jeszcze kompleksowymi — jako że dokumentowały szeroki wachlarz aspektów kultury ludowej.

Obecnie pod terminem „kultura ludowa” nie rozumie się już tylko kultury wsi, kultury chłopskiej. Również kulturę małych miast i miasteczek, a nawet peryferie większych miast (przedmieścia). Dlatego, też badaniami obejmowano również miasteczka i dawne miasta. Przykładem może tu być Pilzno, kiedyś miasto w całym tego słowa znaczeniu.

Co te obozy w rezultacie dały? Dysponujemy przebogatym plonem w postaci różnego rodzaju materiałów faktograficznych. Dzięki tym zabiegom w ramach

działalności Działu Etnograficznego powstało szereg archiwów, i tak: sprawozdawcze (opisowe), ikonograficzne, rysunkowe, fotograficzne, taśmoteka. W sumie wielka wiedza faktograficzna, wiele tysięcy zapisanych i zarysowanych kart, negatywów i fotogramów, zapisy nutowe i nagrania melodii. Wszystkie materiały zostały zarejestrowane w katalogach, a więc żadnej trudności nie przedstawia ich udostępnienie. Trzeba jeszcze dodać, że obozy pozwoliły uzyskać obfitą ilość eksponatów.

Ale akcja faktograficzna to jeszcze nie cel sam w sobie. Niestety, nie jest realizowane — syntetyczne opracowanie kultury małych wycinków Polski, jakimi są regiony etnograficzne naszego województwa. Może Zjazd IHKM pełnić naprzód problem naukowego, syntetycznego opracowania istnych „gór” materiałów kulturowych.

I. ZAGAJENIE HISTORYCZNE I PERSPEKTYWICZNE

Początki zebrań giną w pomroce dziejów. Wystarczyłoby jednak przelecieć się po kilku prahistorycznych pieczarach i obejrzeć prahistoryczne malowidła zdobiące ich ściany, aby się zorientować, że pierwsze zebranie zwołane zostało z powodu i na temat nadmiaru mięsa. Dzielną przaszczur tupnął swą kamienną maszurą mamuta, który okazał się być aż tak mięsisty, że należało do konsumpcji wezwać posiłki. Następne zebranie w całości poświęcone zostało dzięki czynnej rozmowie z bogami, którą oświadczył celebrować pierwszy czarownik.

Rozumując logicznie, to znaczy biorąc pod uwagę zarówno to, że współcześni przestali cierpieć na nadmiar mięsa, jak i to, że stracili wyraźnie ochotę na dziękczynne rozmowy z bogami, należałoby przypuszczać, że zebrania nie mają dziś wielkich szans na rozwój i rozplenianie się. A jednak historia raz jeszcze zakpiła z logiki formalnej i potoczyła się zgoła inaczej. Chyba nie rozwijają nam się tak dynamicznie, jak właśnie zebrania. W miarę postępu cywilizacji i wypierania ciężkiej fizycznej pracy przez maszyny, człowiek miewa coraz więcej zebrań, co obecnie pewnie sami zauważyli. Tu ostrzeżenie — w bujnym gąszczu większych i mniejszych posiedzeń, narad i spotkań roboczych łatwo można zbłądzić i nie trafić na własne zebranie. Przykładowo: zostałeś zaproszony na zebranie w środę o godzinie 10, II piętro, pokój na lewo, małe grono, temat ważny i dosyć ogólny. Pech chciał, że omyłkowo wysiadłeś na piętrze III, a że wszystko inne było ogromnie zbliżone — pora, pokój, grono i temat — więc ześ usiadł, nie wiedząc nawet, że to nie twoje zebranie, ale cudze. W przyszłości, w miarę udoskonalania systemu planowania i organizowania zebrań, dorobimy się na pewno także sprawnej informacji w tej dziedzinie, może świetnych zebrańowskasków, i wszystko działać będzie bez tego typu perturbacji.

Zacznij np. człowiek w kwiecie lat 3 na ogólnym zebraniu małuchów, poświęconym zbawienności jedzenia kaszki manny, a skończy w kwiecie lat 73 na otwartym zebraniu blokowego koła rencistów, poświęconym zbawienności jedzenia kaszki manny. — Siedzę na zebraniu, a więc żyję! — słusznie rozumować będzie przyszły homo zebranikus. Ale wracamy do teraźniejszości.

II. ROZWIĄNIĘCIE, CZYLI ZEBRANIE JAKO TAKIE

Zorganizować zebranie nie jest trudno i mogą to śmiało robić zarówno powołani do te-

TRAKTAT O ZEBRANIU

go, jak i nie. Po prostu wyznacza się dzień, godzinę i lokal, zaprasza zwierzników i zwołuje podwładnych, a dalej to się już powinno samo potoczyć. Trzeba tylko wierzyć w człowieka, a mówiąc konkretniej, wierzyć w to, że wśród zebraniujących zawsze znajdzie się ten, który odważnie zacznie: „Nie mam wprawdzie wyrobionego poglądu na ten temat, ale pozwólcie, że będę głośno myśleć...”. Ze głośne myślenie ma kolosalną przyszłość, to już skądinąd wiadomo.

Milczenie natomiast na zebraniu wystawia jego uczestników jak najgorsze świadectwo. Sugeruje wprost, że dany człowiek nie ma nic do powiedzenia, a więc w domyśle, że jest żalonym ignorantem, albo wręcz istotą bezmyślną, a już na pewno, że nie rośnie i nie zasługuje na awans. Mimo to są ludzie, którzy nie zabierają głosu na zebraniach, klną tylko w duchu i frustrują się na potęgę. Inni obliczają sobie nerwo: — To już czwarte zebranie w tym tygodniu, na którym nie zabrałem głosu. Muszę się przełamać i coś powiedzieć. Szef znów zerka w moją stronę. Raz, dwa, trzy... zgłaszam się. Ja poproszę o głos!

Wbrew sugestiom karykaturzystów, najmniej liczna jest grupa tych, co z nerwami, jak postronki, ręką oczy osłonią i stódko chrapią, nie bacząc zbytnio na porządek dzienny. To oni nagle zbudzeni mają prawo zapytać współzebraniujących: — A na czym to usnęliśmy?

Istnieje kilka szkół zabierania głosu, trudno polecać jedną czy drugą, wszystkie bowiem mają swoje zalety. A więc tylko przytoczę kilka próbek.

— Jakkolwiek sprawa jest w zasadzie wszystkim tu obecnym doskonale znana, to jednak pozwolę sobie zatrzymać się na niej nieco dłużej. Jest to niezwykle wejście, ujmujące swą szczerością.

Ale można też i tak: — Wprawdzie to nie ma bezpośredniego związku z naszym dzisiejszym tematem, to jednak pragnąłbym podzielić się z o-

becnymi garścią doświadczeń z mojego odcinka. Ta wersja jest wyjątkowo praktyczna, raz przygotowana może służyć nieskończenie wiele razy, bo aż tyle, ile istnieje tematów nie mających związku z odcinkiem dyskutanta.

Wspaniałą rozkwit zebrań modernizuje współczesne pojęcia. Dziś te pojęcia ogromnie się wysublimowały. Dobry pracownik, to już niekoniecznie ktoś, kto dobrze pracuje, to coraz częściej ktoś, kto aktywnie uczestniczy w zebraniach poświęconych problemowi dobrej pracy, sprawie pracy jako takiej, zagadnieniu pracy w ogóle.

Jest rzeczą bezsporną, że nieokielznany rozwój zebrań tu i ówdzie eliminuje, a przynajmniej znacznie ogranicza wszelką działalność pozazebranową, w tym głównie tzw. szarą pracę (niektórzy teoretycy problemu używają raczej terminu: codzienna praca). Ostatnio jednak daje się zaobserwować zjawisko prawdziwie groźne. Chodzi mianowicie o to, że jedne zebrania zaczynają kolidować z drugimi zebraniem. Nieprecyzyjnie planowane zająbiają się o siebie wzajemnie godzinami, ludźmi, a nawet krzesłami. Są to, rzecz prosta, trudności wzrostu (zebrań, oczywiście) i przy odpowiedniej organizacji można by ich uniknąć. Warto w tym celu przede wszystkim skraćć do maksimum, a w razie potrzeby wręcz eliminować zdarzające się wciąż jeszcze tu i ówdzie przerwy między zebraniem, a także w samych zebraniach (te ostatnie zarządzane pod pretekstem zjedzenia obiadu, wypalenia papierosa lub rozprostowania kości). Wydaje się, że w tych właśnie minutach i kwadransach tkwią poważne rezerwy naszych nowych, przyszłych zebrań.

III. ZAMIAST PODSUMOWANIA

Były czasy, kiedy zebranie kończono podsumowaniem. Dziś jest zupełnie inaczej. Zerwaliśmy z podsumowaniem, wprowadzając na jego miejsce ustow-

sunkowanie. I dlatego prowadzący zebranie zamyka je mniej więcej w ten sposób:

— Nie zamierzam oczywiście dokonywać żadnego podsumowania, pozwólcie tylko, że ustosunkuję się do kilku poruszonych tu problemów.

Dobry przewodniczący wie oczywiście, że nie wolno mu zamknąć zebrania póki na horyzoncie nie skrytykuje się perspektywa następnego. Bo udane zebranie powinno się zawsze skończyć zapowiedzią zwołania kilku następnych. A już w ostateczności — chociaż jednego. Toteż nie należy przestać na zdawkowym stwierdzeniu: „Dzisiejsze zebranie jest potwierdzeniem celowości tego rodzaju spotkań”, ale warto postarać się o końcowy optymistyczny akcent: — „Sądzę, że dobrze będzie spotkać się za tydzień w nieco szerszym (albo też może być węższym) gronie i przedyskutować tę sprawę ostatecznie”.

Po tygodniu sprawa powinna dojrzeć na tyle, by po ostatecznej dyskusji dać się rozdzielić na dwa aspekty, z których każdemu dobrze by było poświęcić oddzielne zebranie. Bo warto zawsze pamiętać, że jedno zebranie nie wyklucza drugiego.

IV. I WNIOSKI...

Pisać o zebraniach, to prawie porywać się z motyką na słońce. Przy pisaniu powyższego prześladowało mnie widmo profanacji i herezji. Teraz czuję się jak szaleniec, który za jednym zamachem zaproponował likwidację Toto-Lotka, zmianę hymnu państwowego i przeniesienie stolicy z Warszawy do Kuluszek (centralne położenie).

I dlatego spieszę wyjaśnić, że będąc entuzjastką antybiotyku, nie pochwalam stosowania ich przy byle katarze, że będąc wielbicielek radi, cieszę się szczerze likwidacją ulicznych głośników. I że wreszcie, święcie wierząc, że dzieci są ozdobą świata i jego przyszłością, jestem za ich świadomym planowaniem.

To powiedziawszy, zgłaszam wniosek zwołania zebrania w sprawie ograniczenia liczby zebrań. Powiem na nim, że zebrania dzielą się naprawdę tylko na dwa gatunki: potrzebne i niepotrzebne. Moja koncepcja polega na zapobieganiu tym ostatnim. Poprzyjcie mnie!

KSANTYPA

Jubileusz rzeszowskich bibliotekarzy

Kilka dni temu zakończył swoje obrady jubileuszowy zjazd Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich. W październiku 1967 roku minęło bowiem 50 lat od pierwszego inauguracyjnego zgrupowania ogólnego Związku Bibliotekarzy. Odbyło się ono w okupowanej jeszcze przez Niemców Warszawie, w roku 1917, w gmachu stołecznej Biblioteki Publicznej. Od tego czasu rozpoczyna się szybki rozwój tej organizacji (w pierwszym roku istnienia 117 członków i w 1939 — 600, obecnie ponad 9 tysięcy) wzrastają jej zadania i społeczne znaczenie. Dziś jest ona stowarzyszeniem masowym, faktycznym reprezentantem interesów wszystkich typów bibliotek i bibliotekarzy, pojmowanych jako integralne części zjawiska, które ma na imię bibliotekarstwo polskie.

W 50-letniej historii Stowarzyszenia nie zabrakło momentów dramatycznych i tragicznych. M. in. w okresie okupacji hitlerowskiej zginęło 130 jego członków na posterunku walki o zabezpieczenie i ratowanie zbiorów bibliotecznych, dostarczanie książek do tajnego nauczania i niesienia pomocy bibliotekarzom. Przez szeregi związku bibliotekarskiego przewinęli się najwybitniejsi bibliotekarze polscy, ludzie o takich nazwiskach, jak Jan Muszkowski, Stefan Vrtel — Wierczyński, Adam Lysakowski czy Edward Kuntze.

Od pierwszych dni po wywołaniu SBP podjęło kontynuację prowadzonych przed wojną prac i zabiegów. W początkowym okresie po okupacji Stowarzyszenie współpracowało przy redagowaniu dekretu z dnia 17 IV 1946 r. o bibliotekach i opiece nad

(Ciąg dalszy na stronie 8)

Jak nazwać ten region?

(ciąg dalszy ze strony 3)

my krótko — Kresowiacy.

ła, wpłynęła na powstanie tego określenia. Chociaż, występując właśnie na tym terenie wieś Bałaję k. Lubaczowa, co również może w pewnym stopniu rzutować na genezę etnonimu.

Resumując należałoby przyjąć jedną nazwę dla całego regionu, który chociaż wykazuje znaczne odrębności lokalne, stanowił jednak, zwłaszcza w przeszłości, zwarty obszar zasiedlenia ludności mieszanej polsko-ukraińskiej. Nastąpiło również uściślenie zasięgu Dolinian i według moich badań północno-wschodni zasięg tego regionu na pograniczu pow. przemyskiego, z pow. sanockim i ustrzyckim wyznaczają wsie Łodzina, Dobra Słachecka, Kreców, Dobrzanka, Leszczawa Górna, Stańkowa i Olszanica.

Z tego względu najbardziej słuszną wydaje się sugestia J. Kamockiego („Ziemia 1965”) nadająca ludności wschodniej części woj. rzeszowskiego miano Kresowiaków przemyskich. Należy bowiem uwzględnić i tę okoliczność, że pas pogranicza polsko-ukraińskiego ciągnie się znacznie dalej na północ. W naszych opracowaniach regionalnych dotyczących woj. rzeszowskiego mówić będzie-

Na rubież kulturową przebiegającą przez pow. przemyski, jarosławski i lubaczowski ludoznawcy zwrócili uwagę już w XIX w. Bogumił Hoff zachęcając Oskara Kolberga do osiedlenia się w Przemysłu pisze: „Obierz Przemysł jako punkt środkowy do twoich prac; tu bowiem jest granica między Mazurami i Rusinami. A co do typów, co to za zajmujące i obszerne pole studiów. Rusini pełnej krwi, półkrwi, Mazurzy i mieszane rasy. I śpiewy dopiero te rzewne i melancholijne ruskie o-bok krakowiaków i mazurków”. W inwentarzu kulturowym Kresowiaków niczym w tyglu mieszają się różnorodny wpływ zachodu i wschodu. W budownictwie np. wyraźny jest udział konstrukcji ryglowej i bitki glinianej, tak charakterystycznej dla obszarów podolskich. Podobną sytuację obserwujemy w stroju ludowym, a zwłaszcza w sztuce.

Pełna charakterystyka etnograficzna omawianego regionu jako całości i poszczególnych podregionów jest na tym miejscu niemożliwa. Dlatego uwagi te należy traktować jako wstępnie zasygnalizowane, z możliwością szerszego ich omówienia w przyszłości.

STEFAN LEW



Ekspozycja w Muzeum Ziemi Przemyskiej

FOT. KOPC



Na zdjęciu: Azja i stary Nowowiejski.

Pan Wołodyjowski w Bieszczadach

W Bieszczadach, w specjalnie zbudowanych dekoracjach rozegrały się dramatyczne sceny podstępnej ataku Lipków pod wodzą Azji Tuhaj-bejowicza na miasteczko Raszków. Jak pamiętamy z lektury sienkiewiczowskiego „Pana Wołodyjowskiego”, uderzenie na Raszków było ze strony Azji aktem zemsty za nieudane porwanie Basi Wołodyjowskiej oraz straszliwe oszpecenie go przez dzielnego „Kozaczka”.

Raszków został wówczas spalony, nieliczna załoga wycięta w pień, mieszkańcy pomordowani, kobiety i dzieci wzięte w jasyr. Azja zamordował też starego Nowowiejskiego, a jego córkę, Ewkę, podarował jednemu z uczestników napadu.

W roli Azji występuje Daniel Olbrychski, Nowowiejskim jest Władysław Hańcza, Ewką — Irena Karel.

(Ch)



Na zdjęciu: „Azja! Azja! Ja ciebie zawsze... krzyknęła Ewka rzucając się do jego nóg”. CAF — Kwiatkowski

Krystyna Świerczewska

BESTSELLER

Nie można tej książki nie zaliczyć do wielkich ewenementów w teatrach polskich; przeczytawszy — nie można obronić się przed entuzjazmem dla jej autora, cierpliwego zbieracza dokumentu historycznego, dotyczącego lat wędrówek polskiej Melpomeny. „Teatr czasu wojny” Stanisława Marczaka-Oborskiego jest pierwszą próbą syntetycznej całości życia teatralnego w Polsce i poza jej granicami w latach 1939—1945; próbą na tyle udaną i takim bogactwem materiałów udokumentowaną, że pierwsze wrażenie, jakie wzbudza — to podziw, iż zamierzenia tego dokonał jeden człowiek. Poza tym „Teatr czasu wojny” czyta się; to w żadnym wypadku nie jest tylko praca historyczna, lecz przede wszystkim książka żywa, pasjonująca, obficie wypełniona anegdotą, książka przeznaczona dla każdego czytelnika, którego choć trochę obchodzi sprawa teatru. I to jest chyba ten najwyższy komplement, jakim mogą usatysfakcjonować jej autora, dodajmy — doskonale znanego telewidzom całej Polski z przemyśłych wystąpień w roli komentatora Teatru Telewizji — zawsze pełnych humoru, swady i naturalnie erudycji.

Marczak-Oborski pasjonuje się teatrem i zna teatr w jego najintymniejszych poczynaniach, które dla przeciętnego widza stanowią tajemnice. Z własnego więc doświadczenia krytyka buduje sady o polskim teatrze. Tak jednak może działać się tylko w odniesieniu do teatru współczesnego: cała sfera działań teatralnych okupacyjnych wymaga innej miary — myśle tu o złożoności samej interpretacji tych działań przez ludzi teatr wojenny tworzonych, o wielkiej ułotności faktów, powstałych bądź w konspiracji, bądź poza granicami kraju, faktów, dodajmy spontanicznych; działań inspirowanych z intencjami nie tyle uznającymi wagę estetyki teatru — ile siłą jego oddziaływania na morale okupacyjnego społeczeństwa. Marczak-Oborski wie, że tutaj jedyną miarą może być wcale sam fakt, odarty z legend i mitów, o które wtedy nie było przecie trudno: jedyną miarą może stać się obiektywna relacja świadków zdarzeń i samych twórców teatru okupacyjnego. Dlatego właśnie po ów fakt sięga i dlatego pozornie sucha relacja nader często się posługuje.

A sprawy to są na tyle pasjonujące i przy tym mało znane, że

czytamy je po trosze tak, jak zwykło czytać się np. biografie typu wie romancee, tyle że ta powieść jest powieścią o polskiej Melpomenie z czasów grozy.

Jeżeli ucieknie się do podsumowań — to 175 rozmaitych przejawów życia teatralnego (przyjmijmy ten termin, gdyż często teatr był tylko z nazwy, zaś forma jego, a nawet jego treść, w niczym nie przypominała klasycznego pojęcia) na okres 5 lat okupacji wydaje się może liczbą nie nazbyt wielką. Jeżeli jednak uświadomić sobie, że teatr polski nie przerwał swej działalności ani przez jeden dzień wojny — to świadectwo takiej jego żywotności musi zdumiewać niepomierne.

Gdzież on nie był? Ciągnął szlakiem polskich formacji wojskowych, snuł się po krajach wszystkich bodaj kontynentów, był produktem ojczyznianych tęsknot emigracji artystycznej, sadził się w prywatnych mieszkaniach, w zakamuflowanych piwnicach, w szkołach, w oflagach, w obozach jenieckich i nawet tam, gdzie uśmiechano wszelki przejaw życia — w obozach koncentracyjnych. Ponadto istniało 5 instytucji teatralnych, z których najistotniejszą nosiła miano Tajnej Rady Teatralnej, kierującej całym życiem podziemnym teatru polskiego i w skład której wchodził ludzie o nazwiskach nie wymagających komentarza: Schiller, Jaracz, Kreczmar, Adwentowicz, Warnecki, Pronaszko itp. Dzięki Tajnej Radzie powstał także Państwowy Instytut Sztuki Teatralnej. A działało się to po sierpniu roku 1940, kiedy Niemcy uznali, że udało im się rozwiązać wszelkie stowarzyszenia i placówki publicznego życia kulturalnego...

Marczak-Oborski podaje tedy kontrargumenty, gdzie cyfry mają swoją wymowę, że przytoczę choć 4 zespoły studyjne w Warszawie (Warneckiego, Daszyńskiego, Szeleńskiego, Wiercińskiego), 20 teatrów dramatycznych i poetyckich, 21 teatrzyków lalkowych, 3 szkoły aktorskie (wspomniany PIST, Szkoła Iwo Galla w Warszawie i Szpakowicza w Wilnie), 4 kursy dramatyczne (2 w Warszawie, po 1 w Krakowie i Lublinie) a na terenie samej Rzeszy działało 5 dużych teatrów oflagowych, 12 teatrzyków w stalagach i „Komenderówkach pracy”, 4 jenieckie teatrzyki lalkowe, a poza tym stałe imprezy teatralne w 15 obozach koncentracyjnych, więzieniach i obozach pracy.

I działało się to wszystko na przekór zarządzeniom Propaganda — Amt — na przekór owemu upodleniu sceny polskiej, o jakie rozdzierał szaty Leon Schiller, czyli jako forma zorganizowanego buntu przeciw teatrykom jawnym, inspirowanym przez władze niemieckie. I tu znowu trzeba powiedzieć, że Marczak-Oborski jest pierwszym, który poruszył sprawę owego upodlenia i próbował zanalizować przyczyny mnożenia się owych przybytków okupacyjnej radości — owych „Komet”, „Niebieskich motyli”, „Uli”, „Mirazów”. Jest w jego książce i słynna likwidacja Igo Szyma, pierwszego władcy okupacyjnych scenek i zarazem agenta Rzeszy, jest niesympatyczna sylwetka Tymoteusza Ortyma, który też jako jeden z pierwszych „wstawił się” organizowaniem tych teatrzyków i na swoim jubileuszu wygłosił patetyczną pochwałę rozkwitającej sztuki pod auspicjami okupanta (a po wojnie już — też jako jeden z pierwszych usiłował zabiegać o pełną rehabilitację; wreszcie wyemigrował do Stanów Zjednoczonych i napisał wspomnienie o patetycznym tytule: „Gdzie hrabiny były kelnerkami!”); są inni preparatorzy szmiry, przygotowywanej z myślą o tych, o których Himmler powiedział, że posiadania przez nich sztuki czytania nie uważa za konieczne, a okólnik Wydziału Oświaty i Propagandy rządu G. G. zalecał: „Przy występach artystów polskich nie ma żadnych zastrzeżeń co do obniżania i erotyzowania programu”...

Były zatem te oficjalne widowiska naerotyżowane i ogłupiające co się zowie; zresztą same tytuły świadczą o tym najlepiej: „Kobiety i gablony”, „Szukamy pieprzyka”, „Och, co za nogi!”, „Nektar rozkoszy”, „Kajaki i krzaki”, „Co trzeba do baby”, „Wesoły harem”... I były jeszcze te spod znaku ponurego alkoholizmu: „Cyk pod rzodkiewkę”, „W ululającym ulu”, „Humor, czar, bar”, „Od smoczka do kieliszka”.

W tym samym czasie zaś ZASP nawoływał do bojkotu tych „scen”, zalecał aktorom rejestrować się jako pracownikom innych zawodów. Tworzyły się na ten apel w kawiarniach warszawskich szereg szatniarzy i kelnerów, jadłowicie zwanych przez kolegów z teatrzyków jawnych „konfederatkami barskimi”, mnożyły się ataki prasy gadzinowej, które notabene nawet Grzegorz Fitełberga przekwalifikowały jako aktora rewiewego... W tym samym czasie także dwie poznanianki, oglądające wbrew zakazowi „Ifigenie w Tau-rydzie” przeznaczoną dla rasy pa-nów zostały zesłane do obozu koncentracyjnego, bo przelożyły sztukę w zniechęcającym języku nad „ogródki rozkoszy”. Zaś Urząd Propagandy nagroził w rozpisanym przez siebie konkursie sztukę o nader wymownym tytule: „Zy-dzi — wszy — tyfus plamisty”...

Poświęca tym sprawom wstydlivym, znaczącym się brudną plamą na działalności teatru polskiego wiele miejsca. Nie daje jednak skrzywionych proporcji i reszta jego książki jest wielkim eposem o bohaterstwie, odwadze i inicjatywie polskich artystów. Pisze o oświęcimskim „Teatrze Jaracza”, o imprezie na Pawiaku, o Polskim Teatrze Artystów w Nowym Jorku, gdzie wystawiano Mickiewicza, Wyspiańskiego, „Pastorałkę” Schillera, o bukareszteńskim „Przezi-reczce”, gdzie Smugoniowa-Eichle-recte, gdzie Smugoniowa-Eichle-recte, wysoko, to może ujrze Warszawa”, wstrząsającą emigracyjną widownią, a później powołała to zdanie do Paryża, do Theatre Antoine Nouveau... Pisze o Melpomenie wędrującej po teatrach Grodna, Lwowa i Wilna, po nadbala-tonskich miastach po Szwajcarii, Syrii, Anglii, Portugalii, Egipcie, Iraku, Iranie, Libii, Palestynie, Kanadzie; Melpomenie rodzącej się w konspiracji i ogniu walki.

Nie sposób zmieścić tu bogactwa polskiego życia teatralnego w latach wojny; konieczne trzeba jednak przypomnieć, że właśnie z tego ściśzonego teatru wywodzą się załaski tendencji artystycznych, które dziś w nim dominują i czynią zeń zjawisko osobliwej rangi w świecie. Kto wie, czy właśnie tym czasem nie zawdzięczamy zerwania z teatrem werystycznym, niemożliwym wszak w klimacie ascezy formalnej, jaka dyktowała wojna; czy nie z tego okresu wywodzi się skrócona, umowna scenografia; czy nie działalności teatru konspiracyjnego przypisać przywiązanie do wielkiej metafory, do idei tekstu, do wartości słowa, wartości wielkiej narodowej literatury, pozwalającej na eksperymenty inscenizacyjne, dopuszczającej do głosu aluzyjność, podtekst, ukryte sensy.

Wszystko to Marczak-Oborski podsuwa czytelnikowi do przemyślenia i zalewając go materiałem historycznym, jednocześnie przypomina, że świeża to historia i warta analizy; że jej świeżość niedawność działania się faktów, w całości do tej pory nieusystematyzowanych, narażają ją na lukę nie do powetowania w przypadku odejścia ludzi takich, jak Schiller, Szyfman czy Jaracz. Z gorliwością przeto i żarliwym pośpiechem próbuje zatrzymać ów czas grozy, w którym Schiller śpiewał polskie ballady, a Jaracz tajemnie, po blokach Oświęcimia, recytował wielkich pisarzy. I przypomnieć, że właśnie schorowanego Jaracza tak powitał w odrodzonym Lublinie Jerzy Putrament: „Witamy Naczelnego Dowódcę Wojsk Polskich, generała broni Zymierskiego i Naczelnego Dowódcę sztuki polskiej, generała teatru Stefana Jaracza”.

Epidemia szopek

Jak nas uprzejmie informują z różnych źródeł, w pewnych urzędach w Rzeszowie robi się z petentów — szopki. A naczelnicy występują w roli Herodów!

Nie wiadomo dlaczego po wystąpieniu dyrektora Kciuka na zebraniu załogi Zakładu „Nasza Przeszłość”, mówiono tu i ówdzie: — To ci szopka!

Podobno epidemia szopek objęła różne stolki i zawody. Szopki odstawiają: kelnerzy, ekspedienty, konduktorzy itd. Również domy kultury wystawiają szopki w Rzeszowie... aż dwa!

A to ci szopa!

Nasze rady nie od parady

Jeśli w życiu przesładuje cię pech, pamiętaj, że są jeszcze gorsze sytuacje:

Czekać i nie doczekać się

Służyć bez nagrody

Leżeć w nocy w łóżku i nie spać.

CO POMOŻE ZDOBYĆ CI UZNANIE PRZEŁOŻONYCH I PRZYJACIÓŁ?

Beczka wina (może być pół basa) ...na utraktowanie.

Czapka dla uszanowania ludzi (czapkowanie — forma najskuteczniejsza, choć stara jak świat).

Papieru libra dla korespondencji (nie nakładamy do donosów i anonimów, są jednak mile widziane).

Te kawały nie mają brody



mają wąsy!



MOTTO:
Przez żołądek do serca
— Co pani podaje swojemu mężowi, kiedy nie smakuje mu obiad?
— Kapelusz i płaszcz!

★
— Kochanie, czy obiad gotowy?
— Jeszcze nie!
— Wobec tego idę do restauracji.
— Zaczekaj tylko minutkę.
— Już będzie?
— Nie, tylko pójdziemy razem.
Motto:
„Grunt to rodzinka”...
— Czy miał pan kiedykolwiek odmienne zdanie od swej żony?
— Oczywiście, tylko ona nie wie o tym!

★
— Co to za wstążeczka wokół palca?
— Zona założyła mi ją, abym nie zapomniał rzucić listu.
— I wrzuciłeś?
— Nie, zapomniała mi go dać!

★
— Czym będzie pański syn po ostatnim egzaminie?
— Starym człowiekiem!

★
Zona do rozstargnionego profesora:
— Na pewno zapomniłeś, że dziś mija 25 lat od naszych zaręczyn?
— Mój Boże, najwyższy czas, abyśmy wzięli ślub!

KALMAN SEGAL

POCZĄTEK MIŁOŚCI



Od trzech tygodni tkwiłem w pewnym małym miasteczku, gdzie było wszystko, czego w tamtych dniach mogłem być potrzebować i oczekiwać od świata. Stare kościoły z barokowymi ołtarzami i cienistą ciszą mrocznych konfesjonatów — szczęśliwi grzesznicy, którzy mają czego żałować i do czego przystępować. Drzemające wizerunki świętych, błogosławionych i męczenników, łacińskie epitafia na cześć fundatorów, książąt i kasztelanów. Cmentarze z kruszącymi się pomnikami, cyprysy, grobowce czcigodnych opatów, kanoników, kupców.

Wąskie, średniowieczne zaułki, przy których stało wiele domów pustych, uszkodzonych przez wojnę, przeznaczonych do rozbioru... Zaglądałem przez okna, widziałem sklepienie sieni, izby w których wały się po ziemi resztki niegdysiejszego życia, martwe człony mebli, kawałki boazerii, strzępy pluszu, gałganki, które kiedyś pieściły ludzkie palce, fotel z wybebeszoną morską trawą, połamane łóżka, na których ktoś rodził się i umierał. Przedmioty, z których życie uleciało, pokoje, z których mieszkańcy odeszli, pomarli lub zginęli śmiercią gwałtowną, morderczą.

Umarłe domy są nieporównywalne. Żadne dzieło sztuki nie potrafi tak wiernie oddać nastroju przemijania, żaden pomnik. Ciągłość, która pewnego dnia urwała się. Smutek naszej wyobraźni: to co boli; zamyślenie, które zbliża obcych ludzi, dalekich, żyjących i nieżyjących, pokolenia, narody.

Życie jest ustawicznym umieraniem i odmładzaniem się. Trzeba o tym myśleć i nie trzeba uciekać od tej myśli. Czasami chwytamy jakąś

aluzję najsztudniejszą, przejmującą do głębi, wstrząsającą i niszczącą nasze bezmyślne zadowolenie ze świata i z siebie. Niekiedy udaje nam się dosłyszeć jakieś drżące echo, jakieś tragiczne memento w chórach śpiewanych przez niewidzialne dziewczęce złotuste na dziedzińcu klasztornym, czy w klasztornej kaplicy, za wysokim murem, za jednym z tych zimnych murów, które dzielą świat na światy, na raj i na piekło, na huczne targowiska i na zakłętą, milczącą pustelnię.

Kawiarnia była mała w samym środku miasta. Siedząc przy oknie widziało się rynek z ogromną, może tysiącletnią lipą w środku, konary tego olbrzyma związane były żelaznymi klamrami jak bandażami, jakiś pocieszający symbol tkwił w żywotności tego drzewa, z jego widoku czerpałem radość poważną, stateczną.

Pisałem, przerywałem, zastanawiałem się, rozglądałem, szukałem punktu oparcia dla moich chimery. O czym wtedy pisałem? Rozważałem zagadnienie pasjonujące: poszukiwanie ciągłości, poszukiwanie sensu spójnego, sensu dziedziczenia. Byłem jednostronny, oczywiście, bo w tej dziedzinie nie ma racji absolutnych. Jedyne co można pochwalić, przyjąć i życzliwie rekomendować innym do przyjęcia: pochylenie głowy z pogodną rezygnacją. Tracąc wiarę w życie wieczne i w niebiańskie mity, zachować radość życia. Być optymistą epikurejskim. Niekiedy to się udaje i to w kategoriach nie-bogactwa. Patrząc na czerep rozbitego dzbana, czując zapach wina, które niegdyś w tym dzbanie dojrzewało. Widząc sarkofag w krypcie zbombardowanego kościoła,



Z jaką dziewczyną się żenić?

— ... o tym powinien wiedzieć każdy młodzieniec od 18 do 100 lat!

Powinna być jak kwiat czysta i czuła i nie powinna być jak kwiat — powinna unikać motyli.

Powinna być jak księżyc przychylna w kochaniu i nie powinna być jak księżyc, który codziennie zbacza z toru swej drogi.

Powinna być uroczyście jak kościół i nie powinna być jak kościół, który zwołuje wszystkich wiernych głośnie dzwonieniem na nabożeństwa do siebie.

Powinna być jak jagoda soczysta i słodka i nie powinna być jak jagoda, którą byle ptaszek uszczknie.

Świeczka i ogarek wszystkim nastolatkom, którzy skorzystają z naszych rad, dedykuje ten wierszyk:

Na górze róże
Ma dole fiołki
Kochajcie się zawsze
Ja: dwa aniołki!



PRZEZ 7 TYGODNI HOROSKOPY

(Poza premią miesięczną). Wierzyli nasze babcie i dziadkowie, wierzy i my!

Jeden na jeden dzień tygodnia (1/7 premii).

Tylko dla urodzonych w poniedziałek (Księżyc).

★
Lunistów poznasz po białym ciele z czerwonym kolorem pomieszonym. Twarz ich jest piękna i okrągła. Oczy niezbyt wielkie, a wypukłe, jedno od drugiego trochę większe albo zezowate. Brwi na twarzy złączone.

Urodzeni przy wschodzie planety są niestandardnymi flegmatykami, którzy kochają się w rzeczach zwodnych. Zrodzeni przy zachodzie, mogą liczyć na wzięcie u białogłówn. Będą mieli żonę upodobaną i starość z honorem. Urodzeni w czasie pełni, zyskają fortunę i zdrowie.

Świeczka i ogarek sądzi, że horoskop spełni nadzieje wszystkich urodzonych w poniedziałek.

UWAGA DZIEWCZĘTA! — od dziś modni są mężczyźni z piękną okrągłą twarzą, z małymi wypukłymi oczami i potężnym zezem.

GAJ I KOT
Sp. z ograniczoną odpowiedzialnością

Na wprost

O potrzebie tolerancji

Pojęcie — tolerancja, od dawna już zrobiło u nas w pewnych kręgach karierę. Zwłaszcza w środowisku inteligencji. Być tolerancyjnym, to znaczy, według utartego toku myślenia, być postępowym, nowoczesnym i mieć otwartą głowę. Już każdy uczeń dowiaduje się w szkole, ile to zła społecznego przynosił w przeszłości fanatyzm i zacietrzewienie wynikające z ciasnoty horyzontów i skostnienia pojęć. Niestety, najczęściej wiąże się pojęcie tolerancji ze sprawami religijnymi i wyznaniowymi; dzięki temu ludzie, którzy utrzymują stosunki towarzyskie z ateistami, mimo iż są wierzącymi lub gdy nie gorszą się pielgrzymką do Częstochowy sąsiada, jeśli są ateistami uchodzą we własnym przekonaniu i w opinii bliźnich za wzory tolerancji. Jakże jednak bywa inaczej, gdy zostaną naruszone ich wzorce lub wyobrażenia z dziedziny obyczajowości, moralności, sztuki czy wychowania. Ci sami ludzie wtedy ruszają do ataku z fanatycznymi ognikami w żreńcach i z wrosem zjeżonym świętym oburzeniem. Nie mogą ścierpieć autostopu i wędrownych obozów, nie przepuszczają degolówkom u młodzieży, potępiają bezapelacyjnie kawiarnianych bywalców i rozedrą szatę z powodu big-beatu. Albo też będą się pieścić na widok wszelkiej tradycyjności i mieszczańskości.

Każdy z nas ma oczywiście swoje przekonania, poglądy — sympatie i antypatie. Nie wszyscy jesteśmy, na szczęście, apostołami i prorokami, usiłującymi nawracać niewiernych. Nie wszyscy, ale wielu i to oni właśnie zatruwają nam życie.

Najczęściej brak tolerancji objawia się w sposób agresywny u niektórych odbiorców sztuki. Miłośnicy naturalizmu odmawiają jakiegokolwiek wartości obrazom abstrakcyjnym lub kubistycznym, czytelnicy wychowani na poezji młodopolskiej atakują z impetem całą poezję współczesną, melomani, którzy przegrali swą edukację muzyczną na Moniuszce, starają się zniszczyć Pendereckiego i dodekafonię w opinii publicznej. Bywa i odwrotnie — wielbiciele najbardziej ekstremistycznych i awangardowych form sztuki wyrzucają do śmietnika staroci, wszystko co komunikatywne, realistyczne i nastrojowe.

Gdyby ci odbiorcy sztuki mówili tylko w swoim imieniu — może to ma wartości artystyczne, lecz mnie się to nie podoba lub — widocznie nie jestem zorientowany w założeniach tego kierunku, bo to do mnie nie dotiera, albo jeszcze jakoś inaczej, ale gdyby dopuszczali możliwość, że to się może spodobać innym. Niestety, potępienie jest zwykle totalne; przemawia się w obronie mas, które odrzucają, protestują, nie dadzą się nabierać snobom, przemawia się w imię zdrowego rozsądku opinii publicznej (jakby coś takiego w ogóle istniało — nie było pojęciem zupełnie abstrakcyjnym i niesprawdzalnym) itd.

Nikt natomiast nie chce się przyznać, że nie rozumie, że się nie zna na malarstwie, poezji czy muzyce, że brak mu elementarnego przygotowania do odbioru współczesnej sztuki. Nie chce się przy-

znać i czuje się osobiście obrażony tym, że nie uwzględniono jego poziomu, smaku i wiedzy, wobec tego powołuje się na opinię publiczną, na istniejące rzekomo powszechne i jednolite poczucie piękna. A przecież sztuka w swojej istocie nie jest demokratyczna, gdyż wymaga wysiłku, wiedzy i talentu, by z nią obcować, a przecież powszechne i jednolite kryterium wartościowania nie istnieje, gdyż na szczęście jednostki składające się na zbiorowość różnią się między sobą swymi upodobaniami w sposób zasadniczy.

Do naszej redakcji napływają dziesiątki listów protestujących przeciwko wielu utworom poetyckim, opowiadaniom i reprodukcjom grafiki. Często protesty te dotyczą utworów pisarzy dobrze znanych w literaturze współczesnej, którzy mają za sobą wiele tomów wierszy i prozy. Ton tych listów na ogół jest taki: „Bardzo się dziwimy, że możecie takie bzdury drukować, że to ktoś pomyłony, albo w malignie kleci takie trzy po trzy”, albo wierszem... szkicem godny ręki dziecięcia! / swoisty to rodzaj „kompozycji”. // Lecz może to właśnie jest sztuka // braku talentu, nadmiaru ambicji. // Z poezją też różnie bywa // tym razem aż do dna sięgająca. // Autor niczego bowiem nie odkrywał / a treść jej z sensem — bulgocząca!//

Nigdy jednak się nie zdarzyło, by protestujący w imieniu opinii publicznej czytelnik usiłował użyć jakichś argumentów na poparcie swej tezy, by próbował wskazać, dlaczego wiersz jest „bzdurą”, co w nim złego...

„Widnokrąg” publikuje wiersze słabsze i dobre, wiersze komunikatywne i trudniejsze w odbiorze; otrzymuje też oprócz listów pełnych nagan i świętego oburzenia, także podziękowania i prośby o adresy poetów lub prozaików. Ale ci zadowoleni wyrażają wdzięczność we własnym imieniu, są skromniejsi i nie stroją się w togi wyrazieli opinii. To chyba właśnie oni są tolerancyjni. Aby niczego nie ukrywać przyznaję, że i u twórców z tolerancją nie jest najlepiej. Niektórzy, gdy się im krytycznie lub bez większego entuzjazmu ocenił tomik wierszy, z miejsca odmawiają autorowi oceny prawa do recenzowania, inni nie tolerują wierszy swoich kolegów lub samych kolegów. Tak samo bywa u malarzy czy muzyków.

Ale najtrudniej żyć z tymi, którzy tolerują wyłącznie siebie. Drażni ich cały świat, dzieci za ścianą, bo głośno rozsypują klocki, sąsiadka, bo radio gra u niej big-beat, młodzież, bo brzydko mówi i zajmuje miejsce w kawiarniach, współpasażerowie w autobusie, bo nie umieją się obchodzić z własnym dzieckiem, ulice, bo kałuże, środowisko, bo zbiór idiotów itp.... Jeśli nie podpalają całego otoczenia na stosie, jak to czyniono ongiś, to chyba tylko dlatego, że i do zapalek nie mają zaufania. Ale gdy im powiecie, że są nietolerancyjni, bardzo się zdziwią.

Jeśli nie rozszerzymy pojęcia tolerancji, będzie nam coraz trudniej żyć w naszym skomplikowanym świecie.

Jotgiel



ANDRZEJ ŁOKAJ — działacz młodzieżowy
RYS. J. SIENKIEWICZ

Film o Witkacym

3 marca nadany zostanie w programie TV (w cyklu „Portrety”) godzinny film poświęcony życiu i twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza (Witkacego).

Pomysł realizacji filmu powstał przed dwoma laty, kiedy dowiedziałem się o odnalezieniu archiwów domowych Witkiewiczów — stwierdza w rozmowie z przedstawicielem PAP reżyser Grzegorz Dubowski. — Archiwa te obejmują kilkaset listów Stanisława Witkiewicza — ojca do syna, Stanisława Ignacego, kilka tysięcy klisz zdjęć, których autorem w większości jest Witkacy — jak się okazuje również zapalony fotograf — a także zapiski i notatki Witkacego, rzucające niejednokrotnie nowe światło na jego życie i twórczość.

Wspólnie ze scenarzystką mgr Anną Mielniczną — młodą polonistką pracującą w Muzeum Tatrzzańskim w Zakopanem, która opracowuje archiwum witkiewiczowskie — staraliśmy się pokazać to, co — jak sądzimy — powinno zainteresować wszystkich widzów, nawet tych, którzy o twórczości Witkacego wiedzą niewiele.

Nie sugerując się obiegowymi opiniami, przedstawiającymi często Witkacego jako enfant terrible, staraliśmy

się ukazać jego złożoną i bogatą sylwetkę. Po dziś dzień nie straciło nic na aktualności wiele jego poglądów w sprawach teatru, malarstwa, literatury, filozofii. Mniej znane są natomiast jego poglądy społeczne, które ukształtowały się w poważnym stopniu pod wpływem atmosfery domu rodzinnego. Przypominamy, że w 1917 r., w czasie pobytu w Rosji, Witkacy opowiedział się po stronie rewolucji i służył jakiś czas w Armii Czerwonej; w 1926 r. potępił przewrót majowy.

W filmie znajdzie się wiele nieznanych fotografii, rysunków, obrazów, portretów Witkacego. Naszymi konsultantami naukowymi — stwierdza reż. Dubowski — są krytycy Konstanty Puzyra i Jan Błoński. Teksty Witkiewiczów czytają: Adam Hanuszkiwicz, Jan Swiderski, a także Antonina Gordon-Górecka, Mirosz Maszyński i Władysław Kowalski.

Obecnie G. Dubowski przygotowuje dalsze filmy biograficzne z cyklu „Portrety” — „Cyprjan Kamil Norwid” wspólnie z Rogerem Gomułkiewiczem oraz „Stanisław Przybyszewski” wraz z A. Mielniczną. (Kt-PAP)

Jubileusz rzeszowskich bibliotekarzy

(Ciąg dalszy ze strony 4)

Wiele uwagi poświęca Stowarzyszenie problemowi budownictwa bibliotecznego, zagadnieniom upowszechniania czytelnictwa przez biblioteki powszechne (tejsprawy SBP poświęciło zorganizowany wspólnie ze Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich konkurs na reportaż, pod hasłem „Biblioteka w środowisku”) oraz szkoleniu i dokształcaniu kadr bibliotekarskich. Bardzo istotną część pracy Stowarzyszenia stanowi działalność wydawnicza. Przed wojną po utworzeniu Poradni Bibliotecznej ukazywał się wydawany przez jej kierowniczkę Wandę Dąbrowską stały katalog „Książka w bibliotece” oraz „Przewodnik Literacki i Naukowy”. Obecnie co roku pojawia się kalendarz „Informator bibliotekarza i księgarza”, a notowana bibliografia „Literatura piękna”, czasopismo „Z doświadczeń bibliotek szkolnych” oraz „Przegląd biblio-

teczny” i „Przegląd piśmiennictwa o książkach”. Nakładem SBP ukazują się także skrypty, podręczniki, poradniki i książki dotyczące historii i współczesnych problemów bibliotekarstwa. Obecny VI Ogólnopolski Zjazd Bibliotekarzy, który obradował w Warszawie w dniach 12—14 lutego br. przedyskutował i rozpatrzył wiele zasadniczych w chwili bieżącej problemów. Mówiono o współpracy bibliotek w zakresie gromadzenia zbiorów, o specjalizacji księżnic naukowych, wypożyczaniu międzybibliotecznym, informacji czytelniczej itd. Są to sprawy palące ze względu na obrzymini rozwój bibliotek i czytelnictwa. Pracuje dziś w Polsce 50 tys. bibliotek dysponujących 200 mln książek. Korzysta z nich 14 mln czytelników. To są sukcesy niewątpliwe, ale zjazd nie kładł na nie głównego nacisku. Był poświęcony przede wszystkim dyskusji nad dalszymi tendencjami rozwojowymi czytelnictwa i wciąż nowymi problemami, które przynosi szybko płynące życie.

J. G.

ZDARZENIA TYGODNIA

Ostatnio w Zarnowcu odbyło się posiedzenie Rady Muzealnej, na które przybyli przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki, Zarządu Głównego Towarzystwa im. Marii Konopnickiej, Wydziału Kultury Prez. WRN oraz Muzeum Okręgowego w Rzeszowie.

Uczestnicy spotkania omówili najistotniejsze zagadnienia związane z działalnością Muzeum im. Marii Konopnickiej, a także konserwacją zabytkowego dworku, w którym mieści się ta placówka. Podjęte decyzje pozwolą rozwinąć szerszą niż dotychczas działalność naukowo-oświatową muzeum.

Trudno doprawdy uwierzyć, że równo rok temu na tym miejscu informowaliśmy o rozpoczęciu eliminacji do poprzedniego Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. W chwili obecnej podobne imprezy już się odbywają i w miarę możliwości będziemy się starali informować o poszczególnych ich etapach.

Tym razem mamy do odnotowania bardzo miłą wiadomość. Otóż Ministerstwo Kultury i Sztuki wystąpiło z propozycją, by tegoroczne ogólnopolskie eliminacje odbyły się w naszym województwie, a mianowicie na Zamku w Łańcucie. Już dziś możemy również poinformować, że ta zasługująca na uwagę impreza odbędzie się w pierwszej dekadzie maja br.

Jak już wiadomo, uchwałą Prezydium MK FJN w Rzeszowie zostały powołane komitety organizacyjne Dni Rzeszowa i VII Rzeszowskich Spotkań Teatralnych. Odbyły one już swe pierwsze posiedzenia, na których ustalono, że Dni Rzeszowa odbędą się w terminie 7—9 czerwca, a spotkania w dniach 1—9 tego samego miesiąca. Trudno w tej chwili byłoby przedstawić szczegółowy program obydwu imprez, gdyż znajdują się jeszcze w stadium przygotowań, można natomiast zdradzić ogólne założenia Dni Rzeszowa, które w tym roku będą przebiegać pod znakiem obchodów 25 rocznicy powstania ludowego Wojska Polskiego oraz prezentacji zespołów regionalnych naszego województwa Trochę śmielsze plany obejmują udział zespołów z województw wschodnich (tu przypominamy porozumienie o współpracy między Lublinem, Białymostkiem, Kiełcami i Rzeszowem), ale to zależy nie tylko od komitetu organizacyjnego Dni Rzeszowa.

Sprawy kultury dość często znajdują się na porządku obrad prezydium PRN. Ostatnio np. w Sanoku Prezydium PRN wysłuchało sprawozdania z przebiegu realizacji uchwał PRN w sprawie programu działania w zakresie upowszechniania kultury na lata 1964—70, z uwzględnieniem ostatniej uchwały WRN. Również Prez. PRN w Kolbuszowej poświęciło swe posiedzenie ocenie działalności placówek k.o. i koordynacji działalności w tym zakresie.